

Bóg
w moim
domu

Katarzyna Olubińska

Wydawnictwo WAM

ROZDZIAŁ 1

*Dom - poznaj miejsce,
w którym
rodzi się nadzieja*



Bardzo lubię mój dom. W zasadzie, jeśli mam być dokładna, ten dom nie jest domem w dosłownym tego słowa znaczeniu. Chodzi o nasze wymarzone mieszkanie w Warszawie, do którego wprowadziliśmy się z mężem Jackiem po ślubie, po kilku miesiącach remontu. Teraz wszystko pachnie nowością i jest takie, jak sobie wymarzyłam: pastelowe i jasne, ciepłe i przytulne. Z meblami zrobionymi przez moją tatę i brata, którzy prowadzą rodzinną firmę stolarską. Z mnóstwem kwiatów, które kocham tak samo, jak kochała je moja mama. Większość z nich mam zresztą od niej i właśnie kiedy piszę te słowa, patrzę, jak mimo zimy wypuściły pełno nowych pąków i liści. Drobną rzecz, a cieszy, taki mały cud w mojej codzienności. Jak to dobrze, że świat przyrody nie odczuwa strachu, lęku przed stratą i izolacją. Rośliny żyją własnym życiem, nie zważając na chaos, jaki nastał na świecie. Rosną powoli i spokojnie.

Kiedy zaczęliśmy remont, nie przyszło mi nawet do głowy, że cały świat – w tym również ten nasz mały – czeka pandemia i wielotygodniowe zamknięcie, a nasz nowy

dom stanie się na długo bezpieczną przystanią. Zresztą tego scenariusza nie przewidział chyba nikt, może z wyjątkiem autorów powieści science fiction.

Lubię bardzo nasze mieszkanie. Mamie też się podobało. Mówiła: „Jak tu jasno i ładnie”. Widać było, że dobrze się w nim czuła. Cieszę się, że zdążyliśmy spędzić tu razem z rodzicami kilka beztroskich rodzinnych weekendów z dobrym jedzeniem, spacerami i rozmowami do późna, zanim tak nagle jej zabrakło. Śmierć mojej mamy to kolejne wydarzenie, którego nigdy, przenigdy bym nie przewidziała. Mama była przecież młoda, zdrowa i miała przed sobą całe życie. Myślałam, że jest i będzie zawsze... i na zawsze.

Zresztą jeśli chodzi o dom, miałyśmy takie swoje żarciki słowne, małą polemikę. Ona pytała: „Kiedy przyjeżdżesz do domu?” – mając na myśli nasz dom rodzinny w Kruszwicy. Ja wtedy, niby lekko obrażona, odpowiadałam: „Mamo, przecież ja już tam dawno nie mieszkam”. Na co ona odpowiadała: „To zawsze będzie twój dom”. Miała rację. Tak jest. Tam mieszka mój tata, brat, moja rodzina. A więc mam dwa domy?

Właśnie, że nie. Mam też trzeci. Myślę o kościele Ojców Dominikanów na warszawskim Służewie. Miejscu, w którym czuję się jak w domu, bo tu mam moją rodzinę duchową i tu dostałam tyle dobra, że trudno to opisać słowami. To tu spotkałam wielu niesamowitych Bożych

ludzi i tu przydarzyła mi się masa dobrych rzeczy, a może nawet i cudów... To na Służew przychodzę po nowe siły. Zresztą ten kościół jest miejscem, w którym czuje się modlitwę niemal namacalnie, jeśli mogę tak to ująć. Jest to miejsce szczególnie obmodlone i może dlatego ma taki niezwykle klimat? Widziałam ludzi, którzy płakali po wejściu do tej świątyni – na przykład pewnego zawodnika sztuk walki albo młode małżeństwo z Londynu; po przekroczeniu drzwi kościoła mieli łzy w oczach, a zapytani przeze mnie, czy coś się stało, mówili, że ogarnęło ich wzruszenie, że czują jakiś niesamowity spokój, ciepło na sercu.

Wzruszeniu sprzyja ta ogromna przestrzeń, która daje poczucie wolności przed Bogiem, ale zarazem wrażenie swoistego zaopiekowania, nie przytłacza, nie ma w niej nic, co odwracałoby uwagę od krzyża, ale jednocześnie mury wydają się jakby schronieniem przed tym, co na zewnątrz. Z kamienia, drewna i cegły bije jakieś światło. Na tę niezwykłą atmosferę wpływa z pewnością projekt Władysława Pieńkowskiego, który dokończył Stanisław Niemczyk, geniusz architektury sakralnej, nazywany „polskim Gaudim”, oraz ikona Krzyża Zbawiciela Miłosiernego autorstwa Jerzego Nowosielskiego w nawie głównej. Bardzo lubię też duży obraz Jezusa ze słowami „Jezu, ufam Tobie” oraz kaplicę Matki Bożej Żółkiewskiej, wykonaną z olchy, w miękkich opływowych

kształtach, niby korona drzewa, z obrazem Matki Bożej noszącej też tytuł Niepokalanej Królowej Różańca Świętego, bo ten kościół to zarazem sanktuarium Matki Bożej Różańcowej, a mnie różaniec jest wyjątkowo bliski – często właśnie poprzez modlitwę różańcową doświadczam czułości i niesamowitej opieki Maryi.

Tak więc mam trzy domy: ten rodzinny w Kruszwicy, ten duchowy na Służewie i mieszkanie w Warszawie, w którym jestem na co dzień z ukochanym mężem i psem.

Zawsze byłam wyczulona na symbole i w tym moim wymarzonym domu chciałam podkreślić, co jest dla mnie ważne. Dlatego nad drzwiami wejściowymi powiesiłam niebieski krzyżyk z porcelany, kupiony kilka lat temu w małej galerii, do której weszłam przypadkiem (a może zaprowadził mnie tam mój Anioł Stróż?) przy plaży w Barcelonie. Pamiętam, jak zobaczyłam go w ciepły, beztrojski dzień podczas spaceru po małych uliczkach i pomyślałam: „Kiedyś zawiśnie w moim domu”.

Tak, ten krzyżyk jest dla mnie szczególnie osobisty. Przypomina mi te czasy, kiedy marzyłam, aby mieć swoją własną rodzinę. Rozmawiałam kiedyś o tym pragnieniu z koleżanką, a ona poradziła mi: „Kup sobie coś do tego wymarzonego domu, nawet jeśli jeszcze nie wiesz, jaki on będzie. Niech ta wyjątkowa rzecz czeka na swoje miejsce i przypomina ci nieustannie o tym marzeniu. Patrz na nią w momentach zwątpienia i nie przestawaj

marzyć”. Jakoś w tym czasie wybierałam się właśnie na kilka dni do mojej ukochanej Barcelony. To był typowy babski wypad: wesoły, dobry czas spędzony w japonkach i letnich koszulkach, ze spalonymi od słońca ramionami, przepełniony zwiedzaniem monumentalnych katedr i zadziwiających budowli Gaudiego i smakiem orzeźwiającej sangrii z pomarańczami i lodem. Czas nieśpiesznych rozmów o przyszłości na małych klimatycznych placykach i jedzenia pysznych tapas w malutkich, zatłoczonych barach przy plaży. Pewnego dnia weszłam do małej galerii sztuki przy porcie jachtowym i zobaczyłam ten mały krzyżyk. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Od razu przypomniałam sobie słowa mojej koleżanki i kupiłam go. Teraz wisi nad drzwiami wejściowymi w moim domu. Dlaczego właśnie w tym miejscu? Bo każdego dnia, gdy na niego patrzę, przypomina mi o miłości Boga, najczulszego Taty, o tym, że w żadnej sytuacji nie jestem sama, bo On jest, bo On zbudował ten dom i mieszka w nim. Przypomina mi też o sile marzeń i o nadziei...

Kiedy patrzę na ten krzyżyk, jestem wzruszona i przepełniona wdzięcznością za całe dobro, które otrzymałam dzięki dobremu Bogu. Za mój wymarzony dom (za wszystkie trzy domy), rodzinę, przyjaciół... Nadziwić się nie mogę, jak nieprzewidywalne są Jego drogi. „Powierz Panu swoją drogę i zaufaj Mu: On sam będzie działał” (Ps 37,5) – te słowa z psalmu sprawdziły się w moim

życiu, bo marzenie o własnej rodzinie w końcu się spełniło. Zaufałam, a to sprawiło, że w moim życiu otworzyła się przestrzeń na Boże cuda.

Dziś zastanawiam się, czy nadal tak mocno ufam. Nie jest łatwo zaufać Bogu. W czasach pandemii bezgraniczna wiara i powierzenie Mu swojego życia stały się szczególnie trudne. Czułam się czasami, jakbym zdawała egzamin z wiary. Czy Bóg wystawia mnie i cały świat na próbę? Pamiętam, że kiedy tylko zdałam sobie sprawę z tego, co się dookoła dzieje i co być może nas czeka przy dalszym rozprzestrzenianiu się wirusa, ogarnął mnie paniczny, wręcz obezwładniający strach, zwątpienie i natarczywe pytania: „Boże, czego od nas chcesz? Czy na pewno nic Ci się nie wymyka spod kontroli? Czy ocalisz moich bliskich, mój dom od tej zarazy?”. Pamiętam pewną młodą lekarzkę, do której się w tym czasie udałam, a która rozwścieczona, czy może bardziej zrezygnowana i przestraszona, zapytała mnie z pogardą w głosie: „Gdzie jest teraz ten wasz Bóg?”. Jednocześnie spotkałam wiele osób, które mówiły mi, że właśnie w tej pandemii Boga spotkały i doświadczyły po raz pierwszy w życiu, i to często właśnie w swoim domu...

Jedno jest pewne. W czasie pandemii poczucie beztroskiego zaufania Bogu, takiego wręcz pogodnego „chodzenia z Bogiem”, podobnie jak czas beztroskiego podróżowania do pięknych słonecznych miejsc wydały się nagle

odległe, chociaż jednocześnie tak bardzo za Nim zatęskniłam. Zupełnie jakbym przeniosła się nagle do innej, równoległej, ale zupełnie mi obcej rzeczywistości. Wszystko, co nieoczekiwanie przyniosły kolejne miesiące, sprawiło, że do mojego serca wdarły się smutek i zwątpienie, chociaż jak to w życiu bywa, przeplatały się one z momentami pełnymi słońca, szczęścia i spokoju.

Każdy z nas chciałby żyć z pozytywnym nastawieniem. Codziennie czuć niezmaconą wiarę, silną nadzieję i bezgraniczną miłość. Widzieć dookoła cuda, odczytywać natchnienia, mieć cel, żyć dobrze, mądrze, szczęśliwie, nie krzywdząc innych, z lekkim, wolnym sercem, chodzić z uśmiechem na twarzy, być na właściwej drodze, kochać siebie, bliskich, Boga, cały świat, ciągle wierzyć, że Jemu nic się nie wymyka. Ale czy to jest możliwe? Skąd brać siłę, by żyć słowami Psalmu 121:

Wznoszę swe oczy ku góróm:

Skądże nadejdzie mi pomoc?

Pomoc mi przyjdzie od Pana,

co stworzył niebo i ziemię.

On nie pozwoli zachwiać się twej nodze

ani się zdrzemnie Ten, który cię strzeże.

Oto nie zdrzemnie się

ani nie zaśnie

Ten, który czuwa nad Izraelem.

Pan cię strzeże,
Pan twoim cieniem
przy twym boku prawym.
Za dnia nie porazi cię słońce
ni księżyc wśród nocy.
Pan cię uchroni od zła wszelkiego:
czuwa nad twoim życiem.
Pan będzie strzegł
twego wyjścia i przyjścia
teraz i po wszystkie czasy
(Ps 121,1–8).

Kiedy myślę o takim spokojnym, pełnym zaufania życiu, przypomina mi się wszystko, co działo się w moim życiu przed pandemią. Ale ten czas został przysłonięty jakby kurtyną. Na mój znany i kochany świat, pełen radosnych chwil spędzonych z bliskimi, z moją mamą, została narzucona płachta. Zderzyłam się z niezrozumiałą dla mnie rzeczywistością, szłam jakby we mgle, szukając przeblysków światła. Wydawało mi się, że to, co się dzieje, jest niczym z mrocznego snu, z którego próbujesz się nad ranem przebudzić i otrząsnąć, ale nie możesz. Równocześnie czułam się, jakbym była prowadzona przez jakiś wewnętrzny głos, przypominający mi *Pieśń o nadziei*, którą ktoś zdawał się śpiewać w mojej głowie, a zwłaszcza jeden jej fragment: „W swoim

wielkim miłosierdziu Bóg nas zrodził do nadziei, do wielkiej nadziei”.

Widok papieża Franciszka na pustym placu św. Piotra w Wielki Piątek w roku, kiedy zaczęła się pandemia, zostanie we mnie na zawsze, podobnie jak jego słowa: „Potrzebujemy Pana, jak starożytni żeglarze gwiazd”, i te, w których przypomina, że chcieliśmy być zdrowi w chorym świecie. Mam też nieustannie przed oczami obraz łodzi, która nagle, zupełnie niespodziewanie, w piękny pogodny dzień wpłynęła w burzę i zgubiła kurs, a fale uderzają z całych sił o burty. Czuję, że się boję, ale zarazem wiem, że dobry Bóg jest przy mnie, że mnie – nas wszystkich – nie zostawił.

Czas pandemii sprawił, że cały świat stał się niczym nowa planeta, na której musimy nauczyć się żyć według nowych zasad. Nagle wszystko się zmieniło. Zmieniło się nasze życie, praca, relacje, nawyki i wszelkie codzienne sprawy, które – jak zakupy w galerii – kiedyś wydawały się całkiem oczywiste, a teraz stały się wyrazem luksusu. Zwykłe wyjście do pracy, do parku na spacer, do kosmetyczki, fryzjera, na kawę z przyjaciółką czy nawet uściśnięcie ręki, nie mówiąc o przytuleniu kogoś bliskiego, okazały się czymś niebezpiecznym, co musimy odłożyć na lepsze czasy. Bycie z naszymi rodzinami, bliskimi, przy jednym stole w święta, czyli coś dla wielu z nas najbardziej oczywistego na świecie – zostało zakazane.

Ale właśnie przez to zaczęliśmy doceniać, jak to wszystko było ważne. Zateśkniliśmy za sobą i bliskością, patrząc sobie w oczy wyłącznie przez ekrany komputerów... Ja nagle zateśkniałam bardzo za zwykłym niedzielnym obiadem z rodziną, zjedzonym razem, bez strachu o jej zdrowie.

Ale dzięki tej tęsknocie za tym, co zwykłe, proste jak chleb z masłem i zwyczajne jak kawa wypita z kimś bliskim, uczymy się doceniać małe rzeczy. Radość jak nigdy wcześniej sprawia nam posiadanie psa i wyjście z nim na spacer. Sama właśnie z tej tęsknoty zdecydowałam się spełnić marzenie odkładane od lat i oto taki kundel z lasu, mała zagubiona kulka, trafił pod nasz dach. Ma na imię Flip-Flop Doglewski, od nazwiska, jakie przyjąłam po mężu – Godlewska – i od kłapek (ang. *flip flops*), które z upodobaniem gryzł w pierwszych dniach pobytu w naszym domu; tym imieniem przypomina nam o życiu w klapkach w jakimś słonecznym miejscu na wakacjach, które kiedyś przyjdą, o uśmiechu i luzie. Marzenie o psie lub kawałku ogródka stało się nagle jednym z najczęściej poruszanych w rozmowach tematem. Żadnych tam wielkich ambitnych biznesplanów. W końcu doceniliśmy to, co zwyczajne.

Śniadanie wielkanocne z rodziną po raz pierwszy w życiu jadłam przez Skype'a, a liturgię wielkanocną – też po raz pierwszy – zamiast w kościele, przeżywaliśmy, patrząc w ekran komputera. Komunię świętą mogłam przyjąć

tylko duchowo. Kościoły zostały zamknięte i za obecnością w nich też zatęskniliśmy. Nigdy nie zapomnę widoku staruszka w pustym kościele u ojców dominikanów na Służewie, do którego zajrzałam w drodze do domu jakoś tuż przed świętami, z towarzyszącą niby od niechcenia eskortą policji, która, jak się potem okazało, przyjechała w tę okolicę skontrolować kogoś na kwarantannie. Weszłam tylko na chwilę. Myślałam, że jestem sama w kościele, gdy nagle usłyszałam cichą muzykę. W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakaś msza albo próba chóru i nawet się dziwiłam, że w czasie pandemii słyszę chór. Właśnie wtedy, rozglądając się w półmroku, zobaczyłam jego. Starszy mężczyzna sam odprawiał nabożeństwo drogi krzyżowej, przemieszczając się powoli od stacji do stacji. Przy każdej odsłuchiwał z małego radjka pieśni pasyjne i rozważania. Było w tym tyle piękna, żywej wiary i zarazem samotności, że trudno opisać słowami... Wtedy pomyślałam sobie z żalem o tych wszystkich momentach, kiedy mogłam być nawet codziennie na mszy, a często wcale nie byłam, bo to, że można iść do kościoła, wydawało się przecież takie oczywiste. „Zwyczajna” niedzielna msza święta w kościele okazała się nagle marzeniem. Podczas pandemii wiele razy uczestniczyłam w mszach online, nie poszłam do kościoła, a mimo tego Bóg i tak zagościł w moim domu. Tak było też z wieloma rodzinami i osobami samotnymi, które przysyłały

mi wzruszające zdjęcia z mszy świętej przeżywanej w domach, przed ekranami komputerów, laptopów i telewizorów. Choć na odległość, byliśmy ze sobą i z Bogiem bliżej niż dotychczas.

Lubię spojrzenie ks. Tomáša Halika, z którym krótko po tym, jak rozpoczęła się pandemia, miałam okazję nagrywać wywiad. Lubię, bo daje ono nadzieję. W książce *Czas pustych kościołów* ks. Halik pisze, że to wszystko, co się dzieje, jest z woli Bożej i ma sens, jest po coś. Uważa, że dlatego przyszedł czas pustych kościołów, żeby Bóg był bliżej nas w naszych domach, ale też żebyśmy zdjęli nasze różne maski i stali się sobie bliżsi. Nauczyli się tęsknić za tym, co nam już spowszedniało, i to doceniać: to, co zwykłe, dostępne, co już stało się oczywiste. Ja miałam zawsze wrażenie, że to potrafię, ale teraz widzę, że dopiero po wszystkim, co przeżyłam, doceniłam to w pełni. Moje życie nagle zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni, zmienił się mój dom, moja rodzina, zmienił się cały mój świat.

Nasze domy, które często były niczym hotele, do których tylko wpadaliśmy w drodze do pracy, stały się całym naszym światem; musieliśmy spojrzeć na tę naszą codzienną przestrzeń i przebywających w niej ludzi na nowo. Pewnie dla wielu z nas nie było to łatwe. Weźmy chociażby osoby pracujące na kasach w sklepach spożywczych. Nagle stały się prawdziwymi bohaterami. Nigdy

nie zapomnę, jak pani z zaprzyjaźnionego sklepu odłożyła mi opakowanie suchych drożdży, których nigdzie nie można było kupić. Drożdże spod lady? Z dzieciństwa pamiętałam kolejki i puste półki, ale sądziłam, że już nie dożyję czasów, w których ze sklepów zniknie ryż i papier toaletowy. Codzienne zakupy stały się z dnia na dzień wyprawą na polowanie, a w ludzkich sercach odezwała się – może już trochę zakurzona – solidarność. Zaczęły powstawać oddolne inicjatywy i akcje: pomoc dla starszych sąsiadów, pomoc dla ludzi w kwarantannie, którzy mają zwierzęta (pies w koronie), telefony zaufania, jak na przykład ten u ojców dominikanów na Freta. Jeśli wcześniej odkładaliśmy jakiś problem w relacjach, to teraz nie było dokąd uciec i trzeba było się z nim zmierzyć, nazwać raz jeszcze, zdefiniować, wyjaśnić, znaleźć drogę do siebie nawzajem. Strach, brak spacerów i słońca, zmęczenie napięciem i kolejnymi komunikatami, przerażającymi statystykami i zdjęciami w telewizji powodowały nerwowość, a zamknięcie na pewno nie pomagało w budowaniu mostów. To niektórych z nas zmotywowało do szukania prawdy o sobie, o naszych relacjach, o naszym stosunku do bliskich. Zdrowie – najbardziej wyświechtane słowo z różnych życzeń – zyskało nowe znaczenie i przestało być pustym dźwiękiem, a to, co było wcześniej tak ważne: status społeczny, kariera, pieniądze, wygląd... przestało mieć zupełnie znaczenie. Nasi przyjaciele,

dla których często nie mieliśmy czasu, stali się nagle najważniejsi, a ich zdrowie było dla nas szczytem szczęścia.

Co jeszcze dobrego się wydarzyło? Paradoksalnie staliśmy się sobie bliżsi, bo zrozumieliśmy, że wszyscy jesteśmy jednakowo mali, słabi i bezbronni wobec czegoś większego, niszczącej siły, na którą sposobu nie mają nawet najwięksi eksperci tego świata. Zarazem jednak do naszych domów wdarł się strach. Wielu z nas dotknęło to, czego się najbardziej baliśmy – choroba i śmierć. Tylko że zapomnieliśmy o obietnicy Jezusa, że kto zbudował swój dom razem z Nim, nie zginie: „Spadł deszcz, wezbrały potoki, zerwały się wichry i uderzyły w ten dom. On jednak nie runął, bo na skale był utwierdzony” (Mt 7,25).

Zaufanie w Jego obecność ocala od lęku; bez tej perspektywy można się właściwie poddać, a świat uznać za miejsce pozbawione sensu, zmierzające ku zagładzie. Dlatego właśnie tej wiary i nadziei postanowiłam się uczepić. W końcu – myślałam sobie – dzięki Bogu moi bliscy są zdrowi i bezpieczni. To było dla mnie zawsze najważniejsze, o to prosiłam i za to dziękowałam... Właśnie wtedy, kiedy zupełnie się nie spodziewałam, mój świat, świat, który mimo pandemii udało mi się jakoś oswoić, by był pełen oparcia i bezwarunkowej miłości, w jednej sekundzie runął. Nagle i niespodziewanie odeszła osoba, którą kochałam i Kocham nadal całym sercem, moja najukochańsza Mama.

Kiedy mój świat legł w gruzach, strasznie trudno było mi wymówić modlitwę *Ojcze nasz* i każdorazowo zaczynałam się na słowach: „Bądź wola Twoja...”. Myślałam: „Co się stało? Co poszło nie tak? Przecież nad drzwiami mojego domu wisi krzyż, a na drzwiach napisany jest skrót C+M+B, co oznacza błogosławieństwo. Przecież kiedy się wprowadzaliśmy, błogosławieństwo dominikańskie wypadło z pierwszej książki, po którą sięgnęłam. Przecież staram się budować na skale, na mocnych fundamentach. Jak mam teraz uwierzyć, że Jemu naprawdę nic się nie wymyka, skoro zabrał mi mamę? Czyżby było inaczej, czyżby tamta lekarka miała rację?”. Takie myśli chodziły mi po głowie, a jednocześnie towarzyszył mi jakiś niesamowity, niezmiernie wręcz pokój, który mógł płynąć tylko z modlitwy wspierających nas ludzi. A może też z modlitwy mamy tam, po drugiej stronie. I takie słowa cały czas dźwięczały mi gdzieś w głębi serca: „Nie bój się, wierz tylko” (Mk 5,36).

O tym zaczęłam myśleć, patrząc na moje wymarzone mieszkanie. Od czasu odejścia do nieba mamy lubię je jeszcze bardziej, bo wiem, jak dobrze czuła się w tym miejscu, gdzie wszystko było zgodne z moimi marzeniami i w pastelowych kolorach, które obie tak bardzo lubiliśmy. Mama doradzała przy wszystkich decyzjach, na przykład jaki materiał wybrać na zasłony, bo wybór między szarością i bielą był przecież dla mnie zbyt „trudny”.

Każdy element był tu przemyślany, w każdy włożyliśmy serce. Nad moim stołem parę tygodni wcześniej powiesiłam kilka plakatów z inspirującymi cytatami i motywem domu. Jest tam też ilustracja przedstawiająca żółte gruszki na wierzbie z cytatem: „Ty jesteś Bogiem działającym cuda”. Spojrzałam ostatnio na tę ilustrację i zawahałam się: „A może należałoby ją zdjąć? Przecież modliłam się o dar życia dla mojej mamy i się nie udało. Czy to wszystko, w co wierzyłam, jest nadal aktualne w moim życiu? Czy nadal wierzę i trzymam się blisko Boga?”. Wtedy jednak popatrzyłam od razu na niebieski krzyż nad drzwiami, który zawsze dawał mi tyle nadziei, który był i jest – a przynajmniej staram się, żeby był – dla mnie drogowskazem. Latarnią morską w moim codziennym życiu. Tak, myślę ostatnio dużo o zaufaniu, nadziei i o cudach, których przecież tyle doświadczyłam. Chociaż po śmierci mamy dobre wspomnienia jakby wyblakły i czasami trudno mi było w pełni zaufać Bogu, radość gdzieś się zgubiła i zgasła nadzieja... nadal w głębi serca wiedziałam zawsze, że On jest, czeka na mnie cierpliwie, a nadzieja tylko się na moment zapodziała, przykryta przez smutek, ból rozstania i niewyobrażalną, wielką jak otchłań morską tęsknotę.

Wiecie, jak to jest, kiedy coś się w domu zawieruży i nie wiadomo, gdzie się schowało? Przecież w którejś szufladzie musi być nadzieja... Muszą być też: wiara

i miłość. Kiedy poczułam, że radość, wdzięczność i zaufanie gdzieś się ulotniły, że nic już nie rozumiem, że otaczają mnie zwątpienie i przeraźliwa pustka, postanowiłam wyruszyć w podróż w poszukiwaniu światła, sensu, w poszukiwaniu nadziei...

Z tej potrzeby serca – z tęsknoty za nadzieją, za sensem, za bliskością mimo rozstania, za radością poranka – zrodziła się właśnie ta książka; ale też z wdzięczności za to, ile dostałam od mojej mamy, za dar jej życia, za jej miłość do nas, za mój rodzinny dom. Jeśli jesteś w takim momencie swojego życia, że też potrzebujesz odnaleźć nadzieję, wiarę i sens, zapraszam na wspólne poszukiwania do mojego domu, otwieram przed tobą swoje drzwi. A na początek tej wizyty przekazuję ci dominikańskie błogosławieństwo, zapisane na obrazku, który wypadł mi z pierwszej książki, po którą sięgnęłam, rozpakowując książki w moim nowym domu. Brzmi ono tak:

DOMINIKAŃSKIE BŁOGOSŁAWIEŃSTWO Z XIII WIEKU

Bóg Ojciec niech nas błogosławi.

Niech strzeże nas Bóg Syn,

Duch Święty niech nas oświeca

i da nam oczy, abyśmy patrzyli,

uszy, abyśmy słuchali,

i ręce dla Bożej pracy,
stopy, abyśmy szli,
i usta, byśmy głosili
Słowo zbawienia,
i Anioła Pokoju,
by czuwał nad nami
i z łaski naszego Pana
prowadził nas do Królestwa.
Amen.